



ARTUR GÓRSKI

**ZDRADA  
KOPERNIKA**



 SAGA  
EGMONT

**ARTUR GÓRSKI**

**ZDRADA  
KOPERNIKA**

Artur Górski

# Zdrada Kopernika

Saga

*Zdrada Kopernika*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2010, 2021 Artur Górski i SAGA Egmont

ISBN: 9788726788754

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów  
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą  
Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)  
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

*Mamie,  
cioci,  
Teresie Lubkiewicz-Urbanowicz,  
która zachęciła mnie do pisania książek  
(choć akurat autorka „Bożej Podszewki”  
nie twierdziła, że musi to być literatura sensacyjna),*

*dziadkowi,  
Antoniemu Czesławowi Górskiemu,  
warszawiakowi z dziada pradziada,  
od którego na dwunaste urodziny  
dostałem album... pt. „Gdańsk”.  
Czy coś przeczuwał?*

## WSTĘP

Czy Mikołaj Kopernik był kiedykolwiek w Gdańsku? Naturalnie, przecież duża część jego rodziny, na czele z matką, Barbarą Watzenrode, pochodziła z tego miasta. Także Anna Schilling, domniemana kochanka (przyjaciółka, muza, towarzysza życia?) wielkiego astronoma urodziła się nad Motławą. Wątpliwości badaczy budzi jednak to, czy Kopernik pojawiał się w cieniu Bazyliki Mariackiej po 1539 roku, a więc po wyjeździe swej ukochanej z Fromborka. Spór w tej materii będzie trwał jeszcze długo i na pewno nie zakończy go publikacja niniejszej książki sensacyjnej. Tym bardziej że powieść ta (dziejąca się jak najbardziej współcześnie, czyli w lipcu 2009 roku) bardzo luźno odnosi się do kłopotów Anny i jej Mistrza, które dla niżej podpisanego stały się jedynie inspiracją. A może raczej pretekstem literackim.

Wszystko zaczęło się od śledztwa, jakie miesięcznik „Focus Historia”, piórem autora tej książki, przeprowadził w sprawie Anny Schilling. Otóż niedawno w jednej z kamienic przy ulicy Mariackiej, gdzie obecnie znajduje się hotel Kamienica Gotyk, odnaleziono fragmenty XVI-wiecznej skrzyni z zachowanym napisem: „Anna Schill... 1539”.

To, że piękna Anna zamieszkała wówczas w Gdańsku, nie budzi niczyjej wątpliwości. Czy spotykała się wówczas potajemnie ze swym ukochanym? A czemu nie? Przecież mógł przyjechać nad Motławę w związku z wydaniem (1540 r.) dzieła Joachima Retyka „Narratio prima”, w którym po raz pierwszy zostały ujawnione kopernikańskie teorie

heliocentryczne. A po wizycie w drukarni mógł popędzić na Mariacką.

Tak samo nie można wykluczyć, że owo „Narratio prima” szczególnie najstarsze jego wydanie jest obiektem westchnień mafiosów zajmujących się kradzieżą starych cennych ksiąg. Skoro łupem międzynarodowej szajki stało się najstarsze wydanie „De revolutionibus orbium coelestium” Kopernika, wyniesione z krakowskiej biblioteki Polskiej Akademii Nauk przez polskiego naukowca (takich kradzieży było zresztą więcej), to chyba można założyć, że i dzieło Retyka stanowi łakomy kąsek.

Powieść, ta łączy tajemnicę Anny Schilling i ponure sekrety gangsterów. Jednym z nich jest „fioletowy człowiek”, który wystąpił w moich poprzednich powieściach: „Gucci Boys”, „Łowca ciał” czy „Magia Sacro Arsenale”. Niestety, choć to wyjątkowa kanalia, darzę go sympatią i tylko dlatego wciąż pozwalam mu egzystować w moich książkach. Wprawdzie w powieści „Magia Sacro Arsenale” Parezzio dostał kulę w pierś i można było odnieść wrażenie, że rozstał się z tym światem, ale... przecież nikt nie przedstawił aktu zgonu. A skoro nie przedstawił, pragnę zapewnić, że był jedynie ciężko ranny i pozostaje wśród żywych. Na razie.

Wszyscy inni bohaterowie „Zdrady Kopernika” debiutują jako postacie literatury popularnej.

Przy okazji chciałbym serdecznie podziękować tym, bez których pomocy droga do słowa „koniec” byłaby o wiele trudniejsza. Jednym z nich jest wybitny znawca Gdańska, profesor Andrzej Januszajtis, który udzielił mi wielu cennych wskazówek dotyczących i samej Anny Schilling, i życia w jej mieście 500 lat temu. Na marginesie, bardzo przepraszam Profesora, inicjatora odbudowy Zegara Astronomicznego w Bazylice Mariackiej, że moi gangsterzy nieco uszkodzili owo cudo średniowiecznej techniki.

Za liczne komentarze do kwestii Anny i Mikołaja dziękuję Jackowi Repcheckowi z wydawnictwa Norton Publishing Co., autorowi bestsellera „Sekret Kopernika”, z którym prowadzimy korespondencję po dziś dzień. Żeby było jasne, Repcheck nie ma wątpliwości, że Kopernik pozostawał w intymnym związku z panią Schilling.

Za życzliwe zainteresowanie moją powieścią wdzięczny jestem szwedzkiemu pisarzowi, wybitnemu znawcy czasów Kopernika, Kurtowi Olssonowi. To on podsunął mi pewien trop, który pojawił się w „Zdradzie Kopernika”, a który rozwinę szerzej w kolejnej książce. Dotyczy pewnego wybitnego naukowca z XVII wieku, który rozstał się z tym światem w dość niejasnych okolicznościach. Pisarze sensacyjni bardzo lubią takie okoliczności, szczególnie jeśli są udziałem innych.

Dziękuję także Agnieszce Ucińskiej z „Focusa Historia”, która wyświadczyła mi niezwykle ważną przysługę w zakresie języka łacińskiego, oraz Jankowi Stradowskiemu z „Focusa” za doradztwo w zakresie medycyny stosowanej w... złej sprawie.

*Autor*



## PROLOG

Denat leżał twarzą do ziemi.

Policję zawiadomił przechodzień, który zobaczył mężczyznę osuwającego się po ścianie majestatycznej Bazyliki Mariackiej na chodnik i słyszał wyraźnie oddalające się kroki. Wydawało mu się nawet, że w świetle latarni oświetlającej wejście do gotyckiej kamienicy pod trzema świńskimi łbami, dostrzegł znikającą pośpiesznie postać. Ale nie był tego pewien.

Potem wokół głowy zabitego pojawiła się kałuża krwi.

Opowiedział to wszystko przez telefon, a zapytany o nazwisko, natychmiast odłożył słuchawkę.

Jeden z policjantów, którzy przyjechali na miejsce zbrodni, lekko uniósł głowę zabitego.

- Trafili go w samo oko, chirurgiczna precyzja... - powiedział do kolegi, który wołał nie zbliżać się do zakrwawionego ciała. W wydziale kryminalnym pracował od niedawna i takie sceny wciąż budziły w nim coś w rodzaju lęku pomieszanego z obrzydzeniem.

- Dlaczego od razu chirurgiczna? Być może strzał padł z bardzo bliskiej odległości... - odparł, przyglądając się ulicznymi gapiom.

- W takie cuda to ja nie wierzę - powiedział pierwszy. - Kto daje sobie wsadzić lufę do oka?

- Czasami nie ma się wyboru.

Policjant, który uniósł głowę ofiary, teraz położył ją delikatnie na chodniku. - Kto wie, różnie bywa - szepnął ni to do siebie, ni to do kolegi. - Może świadkowie coś widzieli? Chociaż wątpię. Pewnie przyszli już „po”. Ciekawe

dlaczego ten facet, który widział ostatnie chwile naszego klienta, nie chce z nami gadać.

Drugi odważył się w końcu spojrzeć na denata, choć nie na głowę, z której wciąż płynęła, coraz węższym strumieniem, strużka krwi.

- Zobacz, coś mu wystaje z marynarki.

- Faktycznie, jakaś kartka papieru. Chyba nic się nie stanie, jeśli ją sobie obejrzymy.

Pierwszy wyszarpnął z kieszeni marynarki zmięty papier, rozłożył go i zdębiał.

- A co to takiego? Albo matematyka, albo czarna magia.

Zaintrygowany zdumieniem kolegi, drugi funkcjonariusz odważył się w końcu podejść kilka kroków w stronę zabitego i spojrzął na kartkę.

- Żadna matematyka, zwykła tarcza.

- Jak tarcza?

- Strzelnicza. Przypina się do solidnej deski czy płyty wiórowej i strzela. Na przykład z wiatrówki. Największe koło - najmniej punktów, to w środku, za setkę. Nigdy nie byłeś w wesołym miasteczku? Popatrz, mamy nawet punktację - najmniej, jeden punkt, za trafienie w największe koło. Siódemka za sam środek. Nie, niezupełnie, w samym środku jest jakaś ikonka, chyba jakiś kwiat albo słońce.

- Hmm, trochę dziwna ta tarcza, wygląda na starą. I jeszcze jakieś opisy, chyba po łacinie - odparł pierwszy, kręcąc kartką w różne strony. - Zupełnie, jakby do tych kół ktoś dorysował dwie kreski - poprzeczną i podłużną.

- A ten punkcik na górze z lewej strony? - Drugi policjant wskazał palcem na czarną kropkę, nie większą niż jednogroszówka.

- Narysowany, nie przestrelony.

- Może to jakaś sugestia?

- Jaka niby sugestia?

- Wyobraź sobie, że w tę tarczę wpisana jest ludzka głowa.

- Rany boskie, nie sądzisz chyba, że...

## ROZDZIAŁ I

Telefon komórkowy zadzwonił w środku nocy – fuga d-moll Jana Sebastiana Bacha w piskliwej elektronicznej wersji skutecznie budziła go nawet z najcięższego snu. Wciąż obiecywał sobie, że zmieni dzwonek, choćby na odgłos tradycyjnego telefonu, ale jakoś nigdy tego nie zrobił. Wziął komórkę do ręki – na wyświetlaczu pojawiła się godzina czwarta rano oraz informacja, że dzwoni ktoś, kogo telefon nie potrafi zidentyfikować. I chyba tylko dlatego postanowił odebrać – po to, by burknąć „pomyłka” i dorzucić coś jeszcze, tak od serca.

- Pomyłka... – rzucił awansem i czekał na rozwój wypadków.

- Excuse me, I don't speak Polish – usłyszał odpowiedź.

- Pomyłka – powtórzył, tym razem po angielsku, mając absolutną pewność, że nieznajomy wykręcił niewłaściwy numer.

- Fakt, pomyłki zdarzają się często, ale akurat nie w tym wypadku – odparł nieznajomy. Wprawdzie doskonale posługiwał się językiem Szekspira, ale z jego wymowy można było wywnioskować, że jest albo Włochem, albo Hiszpanem. No, ostatecznie Burgundczykiem.

- Czy pan wie, która jest godzina?

- Wiem i od razu chciałem pana serdecznie przeprosić za tę pobudkę. Ale sprawa jest na tyle istotna, że nie wahałem się pana niepokoić. Poza tym, w miejscu, z którego do pana dzwonię, jest nieco wcześniej. A właściwie – dużo wcześniej.

- A czy wie pan, do kogo zadzwonił?

- Och, podejrzewa mnie pan o to, że nie wiem, do kogo dzwonię i o której godzinie... Wielka nieufność już na samym początku rozmowy. A może być bardzo ciekawa, zapewniam. Wracając do pańskiego pytania: pan Łukasz Dybowski, prawda?

- Tak, to ja. A z kim mam przyjemność? - Łukasz w przyspieszonym tempie odzyskiwał pełną świadomość, choć do ideału było jeszcze dość daleko.

- Moje nazwisko Parezzio, Stefano Parezzio, jestem Włochem.

- Czego może ode mnie chcieć Włoch o czwartej nad ranem? Nie zamawiałem pizzy - zdobył się na dowcip, który jego rozmówca skwitował serdecznym śmiechem.

- Roznosiciel pizzy, to znakomite. Niestety, drogi panie - Parezzio nagle spowaźniał - życie to nie tylko pizza. Czasami trzeba się zdobyć na większy wysiłek kulinarny.

- Filozof z pana - wymamrotał Dybowski. - Ale ja nie potrafię dyskutować o sensie istnienia o czwartej nad ranem. Chyba, że mnie pan jakoś rozrusza.

- O, do tego lepsza byłaby jakaś urocza blondynka. Na marginesie - nie przepadam za blondynkami, bo przeważnie są farbowane. A skoro zmieniają kolor włosów, to pewnie wszystko inne też mają sztuczne. Tak między nami mówiąc, najbardziej przemawia do mnie kolor fioletowy...

Dybowski pokręcił głową - czy to wszystko mu się śni? Dzwoni do niego o świcie jakiś dziwny Włoch, zapewniam, że ma do przekazania bardzo ciekawe informacje, a potem wkracza na obszar filozofii, kobiet i kolorów. Niech wreszcie przejdzie do sedna sprawy.

- Poproszę o konkrety. O tej porze zupełnie mnie nie interesują kolory.

- Doprawdy? A niech pan spojrzy przez okno.

Dybowski niechętnie wstał z łóżka i poczłapał w stronę okna. Mieszkał na ósmym piętrze warszawskiego apartamentowca, więc jedyne co zobaczył, to rozjaśniające się bezchmurne lipcowe niebo.

- Patrę.

- I co pan widzi?

- Niebo.

- A jaki ma kolor?

Dybowski pokiwał głową - faktycznie, był to fiolet, złamany pomarańczowymi refleksami.

- Powiedzmy, że fioletowy. I zakończmy na tym temat barw. W porządku?

- Ależ oczywiście, to wyszło tak zupełnie niechący, spontanicznie, nie miałem najmniejszego zamiaru opowiadać panu o kolorach. Chociaż... Czy był pan kiedyś w Prowansji?

- Kilka razy - odparł Dybowski, czując pewną satysfakcję, że mógł pochwalić się znajomością południa Francji. - A co to ma do rzeczy?

- Jeśli tak, to zapewne przypomina pan sobie ten cud natury, jakim są ciągnące się aż po horyzont fioletowe pola lawendowe. I ten intensywny zapach, szczególnie, gdy rozetrzeć kwiat lawendy w dłoni...

Tym razem Dybowski pozostawił słowa Parezzio bez komentarza. Czuł się wprawdzie skołowany, ale ta pozornie bezsensowna rozmowa wciągała go coraz bardziej. Po chwili milczenia odezwał się Włoch:

- Chciałbym porozmawiać o przedstawieniu pierwszym.

- Przedstawieniu pierwszym?

- Tak, zresztą może źle to tłumaczę na angielski. Pan rozumie, obroty ziemi, obroty słońca...

- Obroty słońca? Nie dość, że dzwoni pan z daleka, to jeszcze z odległej przeszłości. O ile mnie pamięć nie zwodzi, to w średniowieczu wierzono, że Słońce i gwiazdy krążą

wokół Ziemi. Potem pewien facet z Fromborka zdezaktualizował tę teorię – w głosie Dybowskiego pojawiła się kpina.

- Ten facet także mnie interesuje. A pan niepotrzebnie udaje głupiego. Doskonale pan wie, co mam na myśli, mówiąc o obrotach Słońca.

Dybowski nie miał pojęcia o co chodzi, ale uznał, że lepiej zachować pokerowe milczenie – bo przecież nie kamienną twarz – sugerując, że trzyma w ręku mocne karty. Ale zaraz potem coś mu zaczęło świtać w głowie.

- Wie pan, prawda? – domagał się odpowiedzi Parezzio.

- Może i wiem, ale pan naprawdę zadzwonił o złej porze. Kiepsko kojarzę fakty, mój umysł, w przeciwieństwie do oczu, jeszcze się nie obudził.

- To jasne, wobec tego nie będę pana dłużej dręczył. W przyszłym tygodniu będę w Warszawie, więc może spotkalibyśmy się? Wyłuszczyć panu szczegółowo pewien problem, który muszę rozwiązać, a pan mógłby mi pomóc.

- A mam inne wyjście?

- Obaj go nie mamy. Odezwę się.

## ROZDZIAŁ II

Prezes Fundacji Promocji Miast Historycznych Marek Kowalczyk ważył w dłoni książkę, zupełnie, jakby jej ciężar był istotniejszy od zawartości. Uśmiechał się przy tym, dając do zrozumienia, że jest naprawdę zadowolony.

- Muszę przyznać, że wykonał pan dobrą robotę, panie Łukaszu. Wierzę, że „Złota legenda Gdańska” odniesie taki sukces, na jaki liczymy. Nawiasem mówiąc, tytuł chyba z lekka zapożyczony, prawda? „Legenda Aurea” Jakuba de Voragine... Ale to dobrze, takie odwołania wydają się bardzo zacne.

Dybowski skłonił się niczym renesansowy artysta pochwalony przez magnata, który zlecił mu wykonanie rzeźb na rodzinnym grobowcu.

- Zrobiliśmy co w naszej mocy. Gdybym miał trochę więcej czasu, efekt byłby jeszcze lepszy.

- Bez przesadnej skromności - prezes poklepał Dybowskiego po ramieniu i podsunął mu pod nos talerzyk z ciastkami.

- Poza tym, pan prezes widzi jedynie opakowanie. A najważniejsze jest w środku, czyli tekst i ilustracje.

Kowalczyk pokiwał głową i, na chybił trafił, otworzył książkę mniej więcej w samym środku.

Dybowski wstrzymał oddech - choć korekta kilka razy czytała cały tekst, bał się, że jego rozmówca od razu wychwyci jakiś kompromitujący błąd. Ortograficzny, gramatyczny, a może historyczny - bez znaczenia. Gdyby faktycznie książka zawierała jakieś byki, wówczas Dybowski mógłby się pożegnać z kolejnymi zleceniami.



To wygrał w drodze przetargu – fundacja zapragnęła wydać książkę o związkach wielkiego astronoma Mikołaja Kopernika z Gdańskiem. Wprawdzie wydanie nie było związane z jakąkolwiek spektakularną rocznicą, ale skoro Unia Europejska przeznaczyła spore fundusze na promowanie regionów, to grzechem byłoby ich nie wykorzystać. Fundacja miała bardzo ambitne plany stworzenia całej serii na temat miast związanych z wielkim astronomem. Po Gdańsku miał być Toruń, Frombork i Olsztyn.

Łukasz Dybowski był właścicielem malutkiej oficyny wydawniczej, której udało się przetrwać na rynku tylko i wyłącznie dzięki kupionym (rzecz jasna, za kredyt) prawom do książek Roberta Millera. Wprawdzie za oceanem Miller uchodził za autora drugiej, a może nawet trzeciej ligi, jednak Dybowskiemu udało się go wypromować w Polsce jako autentyczną gwiazdę literatury sensacyjnej. Amerykanin pisał książki osadzone we współczesności, ale ich akcja zawsze toczyła się wokół jakiejś historycznej zagadki. Jej bohaterem był fajtłapowaty prywatny detektyw włoskiego pochodzenia Bill Paolini – zupełnie niepodobny do bohaterów Chandlera – obdarzony wszakże wspaniałą intuicją. Można było odnieść wrażenie, że archetypem Paoliniego był porucznik Colombo. Miller należał do pokolenia, które wychowało się na serialu z owym pozornie groteskowym, a tak naprawdę – genialnym gliniarzem.

Trzeci tom przygód Paoliniego (Dybowski już pracował nad czwartą częścią) dotyczył pewnego wstydliwego sekretu Girolamo Savonaroli, XV-wiecznego reformatora życia religijnego we Florencji. Rewoltę Savonaroli, który publicznie krytykował zarówno Kościół Katolicki, jak i samego papieża, popierały tłumnie kobiety, które opuszczały swych mężów i wstępowały do klasztorów, by oddawać się kontemplacji i ascezie.

Według pewnego nieznanego dotychczas (bądź bardzo mało znanego) dokumentu, Savonarola miał urządzać seksualne orgie ze swymi „aniołkami”, zamieniając żeńskie klasztory w domy nieokiełznanej rozpusty.

Detektyw Paolini prowadził zaś śledztwo w sprawie śmierci antykwariusza, który nieopacznie wszedł w posiadanie owego dokumentu.

Wprawdzie Dybowski odczuwał pewien moralny dyskomfort, publikując, jak sam to określał, „ten stek bzdur”, ale skoro ludzie chętnie kupowali książki o Paolinim, skoro cały czas było zapotrzebowanie na thrillery parahistoryczne, choćby o najbardziej niewiarygodnej akcji, nie zamierzał z tego rezygnować. Zresztą uspokajał swe sumienie, powtarzając sobie: dzięki tej książce znacznie poszerzyła się liczba Polaków, którzy usłyszeli nazwisko Savonarola. A to już jest coś warte.

Co więcej – udał się nawet na targi książki do Frankfurtu, by wybadać możliwość przejęcia praw do kolejnych autorów tego gatunku.

Jednak kiedy dotarła do niego informacja o przetargu na książkę o związkach Kopernika z Gdańskiem, poczuł, iż jest to coś, na co czekał. Jako historyk – tak, skończył studia w tym zakresie, nawet z całkiem przyzwoitą oceną, tyle że nigdy w wyuczonym zawodzie nie pracował – wiedział na ten temat całkiem sporo. Szczególnie interesowała go historia domniemanego romansu fromborskiego kanonika z pewną piękną gdańszczanką, Anną Schilling. Jeśli zatem Kopernik miał jakieś związki z Gdańskiem, to ten był szczególnie intensywny i wart opisanie. Nawet jeśli w gruncie rzeczy stanowił li tylko uroczą legendę, wyśmiewaną przez profesorów historii.

Na szczęście książka, którą zlecała Fundacja Promocji Miast Historycznych, nie miała być naukowym opracowaniem, a raczej pozycją bliższą temu, co oferował